

Jak piszemy w poprzednim artykule, na marcowym walnym zebraniu wybrano nowego prezesa Związku Polaków we Włoszech. Jest nim Grzegorz Kaczyński, dotychczasowy wiceprezes Związku, nasz kolega i przyjaciel. Oto, co powiedział 30 marca br. w redakcyjnej rozmowie dla czytelników Biuletynu.

PLANY KONKRETNE I TE... UTOPIJNE

Jesteś od wczoraj nowym Prezesem Związku Polaków we Włoszech, gratulujemy! Jakie będą główne kierunki tej prezesury?

Dziękuję serdecznie. Od wczoraj miałem za mało czasu, by wejść w rolę prezesa. Zaczynam dopiero kształtować w myśli zarys programu mojego przyszłego działania, który będzie polegał przede wszystkim na kontynuowaniu naszej tradycji. Bo można już mówić o tradycji organizacji, którą tworzyliśmy przez 12 lat pod przewodnictwem Mieczysława Rasieja.

Wydaje mi się, że jest oczywiste, że musimy podtrzymywać pamięć o 2. Korpusie i starać się o popularyzowanie wiedzy na ten temat wśród Włochów. A jednocześnie trzeba ciągle rozszerzać współpracę z młodszym pokoleniem emigracji, zwłaszcza z tą jej częścią, która ma wolę i szanse na to, by przekształcić się w Polonię. Bo *emigracja* i *Polonia* to nie jest to samo. Terminem *emigracja* określa się potocznie formę pobytu poza krajem, w której osoby przyjezdne zachowują własną identyfikację, są w nowym kraju przelotnie, jak "goście", a ich kontakty z nowym środowiskiem społecznym mają głównie charakter ekonomiczny. Gdy jednak przyjezdny do obcego kraju zaczyna rozważać sprawę "ja mogę tu zostać" - to następuje przekształcanie się jego osobowości i w konsekwencji jego tożsamości w *polonusa*. Staje się członkiem Polonii, a jednocześnie obywatelem włoskim. W tym powolnym i trudnym procesie osoby te powinny mieć możliwość śledzenia doświadczeń innych. I my, jako Związek, powinniśmy asystować w tej integracji, w tym dostosowywaniu się do nowej rzeczywistości.



Grzegorz Kaczyński, nowo wybrany prezes ZPW, 2008

Natomiast pomoc w zakresie problemów o charakterze egzystencjalnym, z którymi spotyka się emigracja zarobkowa, (czy wahałowa) leży moim zdaniem w gestii poszczególnych stowarzyszeń lokalnych. Stowarzyszenia same muszą zadecydować o tego typu działalności w ramach własnego programu i możliwości. Sądzę, że w tym wypadku rola, czy – powiedzmy – perswazja prezesa jest marginalna.

Inne moje spostrzeżenie o charakterze programowym dotyczy kwestii: jak najlepiej przedstawić w naszej drugiej ojczyźnie, w Italii, Polskę. Chodzi o to, by wejść w lokalne struktury instytucjonalne, dogłębnie je poznać i przekonać je do naszej sprawy. Każda organizacja terenowa powinna do tego celu wykorzystywać wszystkie, nawet nieformalne, wręcz osobiste układy i znajomości.

Pomyślmy tylko o organizowaniu nauki języka i kultury polskiej w szkołach i na uczelniach, o wymianie kulturalnej w ramach miast, instytucji i organizacji partnerskich, o włączaniu władz miejskich do własnych inicjatyw, o organizowaniu polskiego duszpasterstwa tam, gdzie środowisko polonijne tego pragnie. Myślę, że przykładów tego typu działalności jest dużo, wystarczy śledzić na przestrzeni lat naszą kronikę związkową*.

Mam nadzieję, że uda się z czasem stworzyć coś w rodzaju integracji interesów Polaków we Włoszech, które będą mogły być wyeksponowane i reprezentowane na włoskim forum politycznym, nawet na szczeblu państwowym.

Jest to ambicja jeszcze utopijna, ale biorąc pod uwagę fakt, że diaspora polska nie przysparza takich problemów, jak inne grupy etniczne i że ma wielowiekową tradycję (szczególnie

wzbożoną w ostatnich 60. latach), sądzę, że “zapracowała” sobie na to, by ktoś w strukturach parlamentarnych mógł bronić jej interesów.

Niestety ta, jak już powiedziałem, utopia stała się trochę bardziej odległą po śmierci Jana Pawła II, papieża, który z natury rzeczy był powiernikiem, powiedzmy, *sprawy polskiej* no i, co za tym idzie, emigracji polskiej w Italii. Od dwóch lat jesteśmy znów mniejszością etniczną marginalną, to znaczy taką która uczestniczy w życiu kraju, pracuje, płaci podatki i siedzi cicho - “*non rompe*”, a tym samym jest niewidoczna publicznie.

To wszakże tylko pozory inercji, bezczynności; w rzeczy samej członkowie Polonii są obecni w różnorodnych środowiskach zawodowych, gdzie niekiedy zajmują odpowiedzialne stanowiska; są to nierzadko wspaniałe osobowości. Chodzi o to, żeby Związek zdobył ich sympatię, przyciągnął i włączył ich do urzeczywistniania swoich celów, osiągając tym samym integrację tutejszego środowiska polskiego, zarówno w sensie ilościowym jak i, co może ważniejsze, jakościowym.

Nie zawsze łatwo odróżnić osoby, które decydują się na integrację w Italii, od tych którym jest ona obojętna...

Często ktoś, kto decyduje żeby się tu zakorzenić, nie jest na to przygotowany. Często robi to niejako w konspiracji, bez przekonania i w poczuciu winy. Ale przecież wiadomo, że jeśli jakaś rodzina polska zaczyna wchodzić w strukturę społeczną i zawodową, jeśli rodzice pracują, jeśli mają mieszkanie, dzieci chodzą do włoskiej szkoły, to taka rodzina zaczyna zapuszczać korzenie również w sensie kulturalnym.

Nasz polonijny system (podsystem) społeczny opiera się na wartości WSPÓLNOTY, czyli na bezinteresownej więzi jednostek. Praca stowarzyszeń polegałaby więc na *wylawianiu* osób i nowych środowisk emigracyjnych i na przyciąganiu ich do Polonii. Służy to zachowaniu identyfikacji polskiej, ale w połączeniu z integracją ze społeczeństwem włoskim. **MY NIE MOŻEMY TWORZYĆ GETT.** Gettyzacja, czyli kastowość to zamykanie się w obrębie systemu własnych wartości. To jest styl minionego wieku, postawa

przeżyta i rodząca konflikty.

Wielokrotnie już mówiliśmy na łamach Biuletynu o zmianie roli Polonii od chwili gdy Polska weszła do UE, trudno byłoby dodać coś nowego...

Związek niezmiennie dążył i powinien dążyć do tego, by poza krajem ukazać godność Polski. Ale nie w sposób egzotyczny. Polska w Europie nie jest egzotyczna, jest elementem jej historii.

Ważne, by tu we Włoszech ukazywały się publikacje o naszym kraju oczywiście po włosku (nie przeceniajmy ogólnoświatowej “znajomości” angielskiego); najlepiej pisma krótkie, zwięzłe.

Dzisiaj można zaobserwować, że tzw. fale emigracyjne z Polski nadal nie zostały objęte ramami instytucjonalnymi zarówno w kraju, jak i we Włoszech; w Polsce nikt nie pomyślał o tym, żeby pomóc ludziom w ich wyborach emigracyjnych, a we Włoszech nikt nie pomyślał jak zabezpieczyć imigrantom prawa przysługujące im jako obywatelom Unii Europejskiej. Jest to efekt przewrotnego liberalizmu, który w istocie rzeczy jest eufemizmem prawa silniejszego, prawa – moim zdaniem – *współczesnej dżungli kulturowej*. Kulturowej, ponieważ walczy się w niej dekretemi, okólnikami i przepisami, a nie jak w zamierzczłych czasach muskułami i maczugami. Ale efekt jest ten sam: słabsi, czytaj: imigranci, doznają krzywdy i pozostawieni są własnemu losowi.

A jak będzie wyglądało prywatne życie Prezesa? Jak połączysz liczne obowiązki zawodowe z nową funkcją?

Będę musiał częściej myśleć kategoriami związkowymi. Ostatnio (ale zrzędzeniem przypadku), moje życie tak się ułożyło, że z odległej Katanii często będę jeździł do Mediolanu. To znacznie ułatwi mi działalność, zbliży mnie do organizacji z północnych Włoch. Liczę też na pomoc Fundacji Rzymskiej im. Umiastowskiej, która od początku jest dla Związku nieodzowna, jest swego

rodzaju instytucją *opiekunczą*. Jest też inna szczęśliwa okoliczność, która zbliża mnie do tej funkcji; emigracja jest tematem moich zainteresowań zawodowych. Wydałem na ten temat wiele pozycji, a ostatnio książkę “*Stranieri come immigrati*” i przygotowuję do druku publikację o społecznym kształtowaniu przestrzeni wielokulturowej, głównie miasta, dlatego prawdopodobnie ukaże się ona pod tytułem “*La città multiculturale*”.

Poprosimy o garść refleksji po naszym Zjeździe...

Niesłychanie ciekawe jest to spotkanie, bo widać jak na dłoni jak my, członkowie Związku Polaków różnimy się od siebie – upodobaniami, statusem społecznym, poziomem wykształcenia, stylem życia itd. To jest nasza tragedia, ale i nasze bogactwo. Paradoks każdej Polonii polega na tym, że łączy nas tylko jedna rzecz: to, że jesteśmy Polakami. To, co w życiu codziennym w Polsce nigdy nie łączy, przynajmniej na poziomie więzi społecznej; w Warszawie nikt nikomu nie rzuca się na szyję z okrzykiem “Ah, jesteś Polakiem!” i zaprasza go na kawę. Tu natomiast jest na odwrót. Zaprzyjaźniamy się, bo jesteśmy Polakami, a potem dopiero się okazuje, że każdy z nas ma swoje takie, czy inne preferencje począwszy od kulinarnych, po polityczne, czy egzystencjalne. Jeden jest poważny, ale wesoły, drugi jest wesoły, ale niepoważny... Innymi słowy, nie łatwo jest budować wspólnotę patriotyczną, jest to postępowanie trochę na opak, ale nie ma innego wyboru.

A jaki jest Grzegorz Kaczyński?

Uważam się za człowieka przeciętnego, aczkolwiek moja autobiografia przeczy temu: na pewno nie jest przeciętna. Szczególnie od czasu, kiedy moje losy, z chwilą poślubienia Włoszki, Sycylijki (był to rok 1975), związały mnie również z kulturą włoską.

Wówczas nie brałem pod uwagę życia na emigracji; nie tylko dlatego, że nie czułem się przygotowany do tego, ale głównie dlatego, że taka

opcja była mi wówczas obca. W rzeczy samej, moja żona zamieszkała ze mną w Warszawie; to ona wybrała los emigrantki. Dopiero w okresie Solidarności, do której należałem, nastąpił przełom; po prawie sześciu latach wspólnego życia w Polsce zdecydowaliśmy się na przeniesienie się do Italii.

Motywacja z mojej strony, aby podjąć ten krok, była jasna: nie mogłem poświęcać przyszłości mojej rodziny dla własnych ambicji zawodowych, które miały już widoczne rezultaty (pracowałem w Polskiej Akademii Nauk); szczególnie w nieznośnej wówczas sytuacji egzystencjalnej (przede wszystkim dla mojej żony i dzieci).

Pierwsze lata we Włoszech były ciężkie; stypendia i różnego rodzaju kontrakty akademickie skończyły się i przez pewien okres byłem po prostu bez pracy. Ale nigdy nie poszedłem na kompromisy, które nie godziły się z moimi wartościami; nie poszedłem do pracy jakiegokolwiek, żeby tylko zarabiać, bo wiedziałem, że nie mogę zaprzepaścić mojego dotychczasowego dorobku, wymarzonych celów i – przyznam szczerze - zdolności, że muszę mieć energię na studiowanie, robienie badań, pisanie nocami, publikowanie. W końcu znalazłem pracę w szkole, która otworzyła mi możliwości w urzeczywistnieniu moich zamierzeń. Pracowałem ciężko i uczyłem się; był to okres wielu wyrzeczeń w szarym, codziennym życiu. Tak jak wiele lat wcześniej, w Londynie, na wyjeździe naukowym, ale bezpłatnym z PAN-u, przez prawie sześć miesięcy; pracowałem najpierw fizycznie, a potem jako "człowiek do wszystkiego", po nocach w recepcji, myłem garnki, aby mieć czas i pieniądze, aby uczęszczać na zajęcia uniwersyteckie i zbierać materiały do pracy doktorskiej.

A we Włoszech nawiązywałem coraz ściślejsze kontakty z włoskim środowiskiem akademickim; pokonywałem z cierpliwością paradoksy włoskiej biurokracji, czego przykładem może być fakt, że musiałem nostryfikować magisterkę z socjologii, mimo iż miałem już doktorat. W końcu, stopniowo, przysły zadawalające wyniki, małe sukcesy. Nie obnosiłem się nimi w środowisku szkolnym, aby nie drażnić moich kolegów; siedziałem cicho i pracowałem. Czekałem na odpowiedni

moment; wreszcie, niejako "z ulicy" (jak to się mówi: nie nosiłem teczeki żadnemu profesorowi) przystąpiłem do konkursu na profesora uniwersyteckiego i wygrałem go. Komisja uznała ważność moich tytułów akademickich, publikacji w różnych językach, moich kwalifikacji dydaktycznych.

A przy tym udało mi się nie palić mostów między mną a środowiskiem naukowym w Polsce. Tak, że dziś mam również pewną pozycję w strukturze akademickiej w kraju.

W tym wszystkim moja żona okazała się wielką towarzyszką mojego życia. Jest Włoszką, ale zna świetnie język polski i czasem to ona nie akceptuje jakichś moich tekstów włoskich, nie przepuszcza mi ich. Na to też jakoś zapracowałem, bo w swoim czasie poświęciłem wiele wysiłku i uwagi, aby ją wprowadzić w mój świat, w moją pracę, w mój język. Dzięki temu znalazła silną motywację, by *współpracować* ze mną, by podzielać moje cele, nie rezygnując z własnych. Ona też potrafiła wprowadzić mnie do swojej kultury.

Były to dwa podstawowe elementy, dzięki którym tutaj, we Włoszech, udało mi się znaleźć moje miejsce –

nie jestem zagubiony, wiem kim jestem. Mimo, iż mam tożsamość już w pewnym sensie włoską, nie mam konfliktów osobowościowych i tożsamościowych. Nie widzę rzeczywistości w kategoriach patriotycznych typu: "to dobre, co polskie, co nasze", bo jestem zdania, że systemy wartości narodowych mogą mieć tylko wówczas charakter normatywny, jeśli ucieleśniają wartości uniwersalne. W tym sensie akceptuję i przeżywam wartości narodowe, zarówno polskie jak i włoskie, które nie muszą się wykluczać, mogą być niekiedy komplementarne a niekiedy współwystępujące, wzajemnie wzbogacające się. Szczególnie w sferze uczuć, które są, jak to swego czasu określił Alexis de Tocqueville, «odruchami serca». Innymi słowy, wyznam szczerze, że kiedy słyszę hymn polski, łzy cisną mi się do oczu zawsze, ale... niekiedy, i ku własnemu zdziwieniu, zdarza mi się to również, gdy słyszę hymn włoski.

rozmawiali

Andrzej Morawski i Anna Jurasz

* Patrz prowadzona przez 12 lat na łamach Biuletynu kronika wydarzeń polonijnych we Włoszech.

Grzegorz Jerzy Kaczyński, socjolog, nauczyciel akademicki; Studia: Akademia Teologii Katolickiej w Warszawie, religioznawstwo; Uniwersytet Warszawski, socjologia i afrykanistyka; doktorat i habilitacja. Profesor socjologii na *Università degli studi di Catania*. Badania naukowe z socjologii religii, socjologii wiedzy, socjologii emigracji, socjologii historycznej i historii idei. Prezes Stowarzyszenia Polsko-Włoskiego w Katanii, prezes Związku Polaków we Włoszech.



W czasie obrad Zjazdu ZPwW, od lewej: Kazimiera Wojnicka, Jadwiga Chabros, Robert Malecki i Grzegorz Kaczyński